

Okupacyjna codzienność – obrazki z Ostrowi, Kańkowa, Kaczkowa

Wiele napisano o zmaganiach z wrogiem w czasie okupacji niemieckiej, ale mało wiadomo o ówczesnym życiu codziennym. Ogromna większość Polaków nie była walczącymi z bronią w rękę, pomnikowymi bohaterami, ale toczyła każdego dnia boje o przeżycie swych rodzin. Niemcy wprowadzili racjonowanie żywności oraz obowiązkowe kontyngenty od rolników. Rozkwitł czarny rynek, a nasze okolice przecięte linią odgraniczającą okupacyjne strefy niemiecką i rosyjską były w sytuacji szczególnej, gdyż nielegalne przekraczanie granicy stało się koniecznością nie tylko ze względu na szmugiel, uprawiany dla odpędzenia widma głodu, ale także dla odwiedzin najbliższej rodziny. Właśnie trudów i niebezpieczeństw życia codziennego dotyczą publikowane poniżej fragmenty książki *Wojna 1939-1945 we wspomnieniach mieszkańców Ostrowi Mazowieckiej i okolic*, autorstwa **Jadwige Sadowską i Alinę Wierzbicką**, a wydanej w roku 2019 przez **Miejską Bibliotekę Publiczną im. Marii Dąbrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej**.

BYŁAM ZŁAPANA NA GRANICY NIEMIECKO-SOWIECKIEJ W 1941 ROKU

Wspomnienia Celiny Lipskiej (ur. 1926), z domu Skolimowskiej, z Ostrowi Mazowieckiej



Celina Lipska

W 1939 roku miałam 13 lat. Mieszkałam z rodzicami Anną i Janem Skolimowskimi oraz młodszą o 2 lata siostrą Halinką i 8-letnim bratem Robertem w jednym z drewnianych domów przy stacji kolejowej w Ostrowi Mazowieckiej. Był to cały kompleks budynków usytuowanych wokół wielkiego placu, w których mieszkali pracownicy stacji.

Już w pierwszych dniach września rozpoczęły się naloty niemieckie. 1 września 1939 roku siedziałam na podwórzu, na którym przebywała również pani Zdunek, gdy nagle usłyszałam warkot silników. Nad moją głowę przeleciał samolot, który oddał serię z karabinu w kierunku podwórza. Pani Zdunkowa przestraszyła się i schowała za śmietnikiem, ja znieruchomiałam ze strachu. Samolot zawrócił, leciał bardzo nisko. Zobaczyłam, jak pilot macha do mnie ręką i

śmieje się. Nie rozumiałam, dlaczego strzelał. Później dowiedziałam się, że był to samolot niemiecki i wybuchła wojna. Wkrótce Niemcy wkroczyli do Ostrowi i zaczęła się okupacja.

Pamiętam, jak w pierwszych dniach okupacji zostaliśmy zagonieni przez żołnierzy niemieckich na plac przed stacją. Wśród zebranych były głównie kobiety i dzieci. Stanął przed nami dowódca i mówił coś po niemiecku. Wyglądało to groźnie, ale po kilku minutach Niemcy odeszli, a my nic nie zrozumieliśmy. Mój ojciec pracował na stacji. Funkcje zawiadowcy stacji i dyżurnego ruchu pełnili już Niemcy, jednak do pracy zatrudniali również polskich kolejarzy. Moja mama starała się utrzymać i wyżywić naszą rodzinę. Oficjalne niemieckie przydziały żywności na kartki nie zapewniały minimum egzystencji, a handel artykułami spożywczymi podlegał ścisłej kontroli. Narzucone na właścicieli gospodarstw normy kontyngentowe spowodowały brak towarów rolno-spożywczych na rynku. Nie mieliśmy z czego upiec chleba. Niedaleko przebiegała granica z rosyjską strefą okupacyjną, gdzie można było kupić zboże. Ludność, narażając się na niebezpieczeństwo postrzelenia przez strażników, więzienie, niemieckie obozy koncentracyjne i sowieckie łagry przemieszczała się z jednej strefy do drugiej przez „zieloną” granicę.

Byłam najstarsza z rodzeństwa, miałam wtedy 15 lat, dlatego też ja przechodziłam na sowiecką stronę po żywność. Kilka wypraw zakończyło się powodzeniem, jednakże w czerwcu 1941 roku zostałam schwytana przez niemieckiego strażnika. Doprowadził mnie na teren stacji, a następnie przewieziono mnie do więzienia w Ostrowi mieszczącego się w kamienicy, zwanej „czerwoniakiem”. Podczas przesłuchania powiedziałam prawdę, że nasza rodzina potrzebowała zboża na chleb. Chyba mi uwierzyli, ponieważ nie byłam bita i wkrótce zamknięto mnie w celi. Stamtąd, pod eskortą, jeden raz poprowadzono mnie do siedziby gestapo. Miałam sprzątać budynek i wyczyścić okna. Podczas zmywania zobaczyłam przez okno pomieszczenie, w którym gestapowcy przesłuchiwali mężczyznę. Całe pomieszczenie – ściany i podłoga były ubrudzone krwią. Widok więźnia brutalnie bitego przez gestapowca wywarł na mnie takie wrażenie, że wypuściłam z rąk miskę z wodą, która spadła na posadzkę. Dźwięk uderzenia przerwał przesłuchanie i zwrócił na mnie uwagę Niemców. Zamarłam ze strachu. Na szczęście, po chwili żołnierz niemiecki „na miגי” nakazał mi podnieść miskę i wrócić do pracy.

Po około 2-3 tygodniach zostałam przewieziona do centralnego więzienia gestapo na Pawiaku w Warszawie. Osadzono mnie w dużej celi, przebywało w niej 20-30 kobiet, spałyśmy na piętrowych pryczach. Przesłuchiwano mnie tylko raz, powiedziałam to samo, co w Ostrowi. Przetrzymano mnie tam około tygodnia, później zostałam przeniesiona do innego więzienia w Warszawie o lżejszym rygorze. Po miesiącu wypuścili mnie na wolność i mogłam wrócić do domu. Miałam dużo szczęścia, ponieważ schwytanych na granicy wywożono na roboty przymusowe, a więźniów Pawiaka wysyłano do obozów koncentracyjnych.

*Spisał Michał Kazimierski
w lutym 2019 r.*

MIESZKALIŚMY W KAŃKOWIE PRZY TORACH

Wspomnienia Ireny Borowej (ur. 1933), z domu Zyśk, z Małkini

W 1939 roku miałam 6 lat. Mieszkałam z rodzicami Marianną i Stanisławem Zyškami oraz młodszą siostrą Haliną w Kańkowie-Kolonii, blisko torów kolejowych prowadzących od Ostrołęki do Małkini. Obok mieszkał dziadek Adam Zyśk. Właśnie tory kolejowe już we wrześniu 1939 roku były bombardowane przez niemieckie samoloty. Wszystko to działo się bardzo blisko. Baliśmy się, że bomby spadną na nasze zabudowania. Przez dwa dni ukrywaliśmy się w lesie, potem w polu. W końcu zdecydowaliśmy się uciekać za Bug. Zapakowaliśmy trochę rzeczy na wóz konny (tzw. żelaźniak), zabraliśmy ze sobą krowę i przeprawiliśmy się promem przez Bug do Treblinki. Na gospodarstwie został dziadek. W czasie ucieczki widziałam łunę nad Małkinią. Płonęła ulica Nurska i Piaski. Potem okazało się, że kilka budynków ocalało: apteka Koceli i poczta oraz budynki wojskowe blisko stacji kolejowej. Budynki wojskowe przy Nurskiej zostały zajęte przez Niemców, mieściło się tam gestapo.

W Treblince zatrzymaliśmy się na około 2 tygodnie u rodziny Karola i Heleny Sochów, później przenieśliśmy się do Łomnej do rodziny Zyšków. W końcu jednak, po miesiącu tułaczki, zdecydowaliśmy się wrócić do swojego domu, bo wszystko tu zostawiliśmy. Na szczęście, zabudowania były całe, bo Niemcom wtedy chodziło o zniszczenie torów kolejowych w Małkini. Jak wcześniej mówiłam mieszkaliśmy w odległości około 200 m od torów, niedaleko był las, a tuż za domem wiodła ścieżka do granicy niemiecko-sowieckiej. Każdej nocy przechodzili tędy przemytnicy, partyzanci, kurierzy i zwykli ludzie próbujący zdobyć żywność czy artykuły przemysłowe. Przyjeżdżało dużo handlarzy z Warszawy. Niejednokrotnie widziałam, jak niemiecki strażnik prowadził schwytanych na granicy ludzi do aresztu w Małkini. Niektórzy próbowali uciekać. Pamiętam, jak Niemcy zastrzelili uciekającego mężczyznę. Następnego dnia jego towarzysze, zwolnieni z aresztu, przyszli go pogrzebać, a mój tata zbijał trumnę z desek. Do dziś pamiętam kobietę zastrzeloną podczas ucieczki. Była to 32-letnia Regina Skrzekotowska, chyba z Warszawy. Pochowano ją w Małkini na tzw. cmentarzu inwalidzkim, a ojciec też szykował dla niej trumnę. Po wojnie przyjeżdżał tam jej mąż z dziećmi.



Przez całą wojnę chodziłam do szkoły do Małkini. Droga prowadziła wzdłuż linii kolejowej. Gdy utworzono obóz w Treblince, co kilka godzin przejeżdżały tamtędy transporty Żydów. Zdarzało się, że wyskakiwali z pociągu, a wachmani strzelali do nich z karabinów maszynowych. Rodzice zawsze mi przypominali, abym kryła się przed nadjeżdżającymi pociągami.

Pamiętam też inne, tragiczne zdarzenie. Było to w lipcu 1943 roku. Pasłam krowy w Kańkowie na burcie kolejowej przy torach idących od Małkini w kierunku Ostrołęki. W tym samym miejscu wypasali krowy kilkunastoletni chłopcy z Zawist. Często chodzili tamtędy kwaterujący w lesie koło Kańkowa Niemcy (już na początku okupacji Niemcy zbudowali w lesie barak, takie same baraki stały przy ul. Nurskiej w Małkini). Tego dnia od strony lasu torem ostrołęckim w kierunku Małkini szedł niemiecki żołnierz. Chłopcy o coś go zapytali, prawdopodobnie o papierosy. Może Niemiec przestraszył się, bo był sam, zaczął krzyczeć raus, raus (uciekać, uciekać). Dzieci rzuciły się do ucieczki w różne strony. Ja biegłam pierwsza ścieżką w kierunku Zawist. Usłyszałam strzały. Obejrzałam się, biegnący za mną chłopiec jęknął, zrobił jeszcze dwa kroki i upadł. Na tzw. wiszącym moście stał w rozkroku Niemiec z uniesioną bronią. Nie strzelał już więcej. 15-letni Kazimierz Zawistowski zginął na miejscu, pochowano go na cmentarzu w Małkini.

*Spisała Eliza Witkowska
w październiku 2018 r.*

ZAKAZY, NAKAZY KONTYNGENTY OKUPACYJNE

Po wprowadzeniu administracji niemieckiej w Generalnej Guberni, zostali spisani nie tylko ludzie, ale i zwierzęta - krowy, konie, świnie. Zwierzęta otrzymały kolczyki, aby było wiadomo, ile ich jest, choć Polacy starali się ukryć przynajmniej jednego prosiaka przed kolczykowaniem. Władze niemieckie wydały rozporządzenie, w którym ostrzegano przed karami, które grożą za ubój bez pozwolenia. Wprowadzono obowiązkowe dostawy, tzw. kontyngent. Trzeba było oddać mleko (zanoszono je do sołtysa). Świnie, zboże i kartofle gospodarze odwozili w wyznaczone dni do Małkini lub Ostrowi. Krowy ze wsi co kilka miesięcy były zganiane na jedno miejsce, gdzie Niemcy przeprowadzali selekcję (może robił to jakiś weterynarz) i wyznaczali te, które mają być odprowadzone na ubój. Za taką krowę otrzymywano mniej niż połowę jej wartości rynkowej. Za dostarczany kontyngent ludzie otrzymywali jakąś zapłatę, przede wszystkim w formie wódki, za krowy dawano czasami jeszcze skóry miękkie na buty i twarde na podeszwy. Kontyngent był wyznaczany z hektara. W zależności od wielkości gospodarstwa trzeba było dostarczyć mięso, mleko, zboże, kartofle w odpowiedniej wysokości. Zamiast mleka można było dostarczyć masło, to wtedy zostawało w domu chude mleko i maślanka. Był jeszcze wyznaczony podatek w pieniądzu.

Po oddaniu obowiązkowych dostaw zboża otrzymywano „kartę dostaw” i na tej podstawie można było we młynie zemleć na swoje potrzeby pewną ilość zboża. Ludzie melli zboże na mąkę w żarnach (dwa ciężkie kamienie i drążek do kręcenia). Zamknięte były też olejarnie, ale zaczęły powstawać małe domowe, w których tłoczono potajemnie w nocy olej. W Kaczkowie Starym takie domowe olejarnie były u Władysława Borowego, Stefana Sadowskiego i Józefa Deputy na Feliksowie.

Największe kary groziły za nielegalne zabicie krowy lub świniaka, za nielegalny handel mięsem. Za to zostali zabici w Ostrowi ojciec i syn (Czesław) Grądzcy z Morzyczyna (jeden był teściem naszej kuzynki Jadwigi Rogaskiej z Kaczkowa Nowego, a drugi bratem jej męża). Za zabicie krowy został skazany na karę śmierci Jan Laskowski z Komorowa (zob. ogłoszenie).

Ale kary groziły także za inne czyny. Za ścięcie drzewa w lesie brat naszej sąsiadki Zofii Libertowej, Tadeusz Cichowski z Bieli, został skazany na trzy miesiące do obozu pracy w Treblince, gdzie była zwirownia, w której pracowali polscy więźniowie.



Bronisława Sadowska

W gospodarstwie moich dziadków Antoniego i Bronisławy Sadowskich z Kaczkowa Starego zabito świniaka, oczywiście po kryjomu i bez zezwolenia. Był to prawdopodobnie rok 1942 lub 1943. Okazało się, że następnego dnia już Niemcy wiedzieli, że świniak został zabity. Przyjechała policja niemiecka, skonfiskowali mięso i zostawili wezwanie „dla gospodarza” do stawienia się na policji w Małkini na ul. Nurską. Dziadek i mój 16-letni wówczas ojciec (Zygmunt) oraz stryj Stefan na wszelki wypadek nie pokazywali się. Została tylko babcia Bronisława, która zdecydowała, że pójdzie sama na policję do Małkini, bała się bowiem, że jeśli pójdzie na to przesłuchanie dziadek, to nie wiadomo, jak się to zakończy, może zostanie aresztowany, może pobity. I poszła. Chyba byli zaskoczeni. W policji był tłumacz i zaczęło się przesłuchanie. Pierwsze pytanie, dlaczego nie przyszedł gospodarz. Babcia powiedziała, że od paru dni nie ma go w domu, a może że jest chory, bo rzeczywiście dziadek chorował. Nie pamiętam tego dokładnie. Czy wiedziała o zakazie uboju? Czy wie, jakie kary są za takie przestępstwa? Kto zabił tego świniaka? Kto pomagał? Jacy mężczyźni? Babcia odpowiedziała, że zrobiła to sama. Wtedy kazali jej opisać, jak to zrobiła. Babcia opisała po kolei, jak wzięła siekiere, weszła do chlewa i obuchem uderzyła świniaka w łeb. Gdy świniak, który nie był bardzo duży, padł ogłuszony, zarżnęła go nożem, a potem rozprawiła, bo widziała kiedyś, jak się to robi. Chyba po mniej więcej dwóch godzinach przesłuchania, zwolnili babcie. Czy uwierzyli? Nie wiem. W każdym razie babcia wróciła po kilku godzinach do domu. Nie poniosła żadnej kary. Może dlatego, że była dosyć drobną kobietą w wieku 50 lat. Może zadziwiła ich odwaga babci? Może trafiła akurat na „ludzkich” Niemców? Odchodząc, chciała, aby jej dali przynajmniej trochę słoniny z tego świniaka, ale aż tak wspaniałomyślni nie byli.

Ale zdarzały się też i inne sytuacje. Na początku sierpnia 1944 roku Niemcy rekwirowali we wsi krowy, świnie, konie. W gospodarstwie moich drugich dziadków Marianny i Adolfa Borowych z Kaczkowa była młoda jałowka. Żołnierz niemiecki, mówiący po polsku, zapewne wcielony do Wehrmachtu, pochodzący gdzieś z Wielkopolski, który przyszedł rekwirować krowy, na prośbę dziadka, że są małe dzieci (ciocia i wujek mieli po kilka lat), nie zarekwirował tej jałowicy, ale powiedział, aby ją zarznąć, bo za dzień-dwa przyjdą inni i ją zabiorą. Niemcy już wtedy szykowali się do odwrotu, bo zbliżał się front rosyjski. I tak dziadkowie zrobili. Mięso w beczce zakopali w ziemi, żeby się nie zepsuło i przez jakiś czas rodzina miała co jeść.

*Na podstawie wspomnień rodzinnych
spisała Jadwiga Sadowska
w styczniu 2019 r.*

